

Szkoła śliczna, dogmatyczna

5 listopada 2015

Istnieje pewna hipoteza, mająca cechy niepodważalnego dogmatu. 395 mln lat temu w kamieniołomie Zachełmie tetrapod wypełzł z morza na ląd, tam już pozostał, i w drodze dalszych przemian stał się posłem znanym pod pseudonimem Liroy. Hipoteza ta, zwana teorią ewolucji, dzięki upowszechnieniu obowiązkowej edukacji, jest oczywistą oczywistością.

Dla przeciętnego, skromnie przez naturę wyposażonego w wiedzę, człowieka teoria ta może budzić wątpliwości. Stanowi bowiem zbiór przypadków o tak małym stopniu prawdopodobieństwa, że przypominających powtarzający się ciąg wygranych w toto-lotka. Małe prawdopodobieństwo nie dyskwalifikuje teorii; uzasadnia za to przekonująco fakt, że w zasięgu naszej obserwacji, na żadnym innym ciele niebieskim, podobne zjawisku cudu życia się nie przytrafiło. Nie mam, podobnie jak większość zwykłych ludzi, jednak ani wiedzy, ani kompetencji, ani odpowiednich informacji, by samodzielnie oceniać prawdziwość, lub nie, teorii ewolucji. Przyjmuję ją na wiarę, umacnianą wbiciem mi do głowy dogmatu w procesie publicznej edukacji.

Moje skromne zasoby intelektualne równie dobrze przyjąć mogą na wiarę teorię kreacjonizmu. Nie mogę podważyć przekonania, że za przemianą tetrapoda w Liroya stała nadinteligentna siła Stwórcy, realizująca plan, którego celu i sensu nigdy nie będziemy w stanie poznać. Kamień, gdyby miał rozum, też pewnie myślałby, że sam określił cel swego lotu. Tak czy inaczej, teoria Bożego Planu przyjęta może być na wiarę, w sposób podobny jak teoria ewolucjonizmu odrzucającego boską interwencję.

Człowiek nie tylko jest, ale też chce być istotą rozumną. Chciałby zatem by świat się kierował jakimiś logicznymi zasadami, tak by wszystko było wytłumaczalne. Gdyby jednak rozum został użyty do samokrytycznej oceny własnego

postępowania w miejsce logiki zobaczylibyśmy chaos. Większość naszych działań codziennych nie ma racjonalnego uzasadnienia, większość naszych codziennych wyborów pozbawiona jest sensu. Jeśli tak jest w przypadku prawie każdej ludzkiej jednostki, to w jaki sposób możemy dowodzić, że zbiorowość rządzi się racjonalnymi planami...

Możemy przyjąć do wiadomości, że pewne nasze działania są dla nas szkodliwe (palenie tytoniu, oglądanie telewizji, jedzenie tłustej golonki), niemniej z przyjemnością ulegamy tym zgubnym nałogom. Ktoś, pragnący racjonalnie urządzić życie społeczne, potknie się o taką niefrasobliwą, niedoskonałość ludzi. Ileż było racjonalnych pomysłów ustrojowych, których twórcy płacząc wskazywali: system dobry, tylko ludzie nie dorośli...

Jednocześnie jesteśmy tak ukształtowani, że łatwo nam uwierzyć w mądrość wszystkowiedzących, którzy potrafią racjonalnie ułożyć życie nasze i naszych sąsiadów prowadząc tym samym Polskę w erę szczęśliwości. Jeśli im się to nie udaje, to pewnie wynika to z istnienia innych „wszechwiedzących”, zawiązujących potężny a tajny spisek przeciw naszej szczęśliwości. Skoro jesteśmy ludźmi rozumnymi, to zło jak i dobro, wynika z racjonalnego wyboru; jest tylko kwestią rachunku sił, czy wygra strona oferująca nam dobro, czy też armia zła.

Darwinowska teoria ewolucji dotyczy świata roślin i zwierząt; dla ludzi pozornie jest obojętna. Stała się jednak, wbrew swojemu stwórcy, „matką” wszelkich innych, świeckich teorii próbujących całościowo wyjaśnić wszystko. Kto poznał mechanizm rządzący światem, ten może czuć się uprawniony by ten świat naprawić. Można zatem z książki Darwina wysnuć tezę, że historyczną rację mają osobnicy najlepiej przystosowani (najsilniejsi). Z tego kolejno można dowodzić prawa supremacji wybitnych jednostek, wybranych ras, narodów czy klas społecznych. Nie ma w tym cienia winy angielskiego przyrodnika, ale zwulgaryzowane przeniesienie jego teorii w świat ludzkiej społeczności zaowocowało ilością tragicznych

zgonów, w większym stopniu niż zainfekowanie mieszkańców Europy zarazkami „czarnej ospy”. Pocieszać się można jedynie tym, że człowiek i tak by zabijał innych ludzi (bo taką ma drapieżną naturę), „naukowe” czy religijne teorie były tylko usprawiedliwieniem jego instynktu.

Rozum ludzki pozwolił nam znaleźć antidotum na zarazki czarnej ospy. Znane są także szczepionki chroniące przed totalitarnymi systemami, zagrażającymi egzystencji ludzi. Karol Darwin w gniewnym uniesieniu napisał: „nie wiem, ile wytworzyliśmy niedorzecznych kodeksów postępowania i bezsensownych wierzeń religijnych; nie wiem też, jakim sposobem wryły się tak głęboko we wszystkich krajach świata w umysł człowieka; warto jednak zaznaczyć, że wierzenie wpajane w pierwszych latach życia, gdy mózg jest wrażliwy, staje się niemal instynktem; a zasadniczą cechą instynktu jest to, że się go słucha niezależnie od tego, co mówi rozum”. Podkreślam ów stan uniesienia, bo zwykła refleksja podpowiada, że owe „niedorzeczne kodeksy i bezsensowne wierzenia religijne” uzbroiły ludzi w pewien instynkt moralny, chroniący przede wszystkim prawa do życia każdej jednostki. Zaplanowane ludobójstwo (w odróżnieniu od mordów w afekcie) jest niewątpliwym triumfem rozumu nad instynktem moralnym; koniecznym jest bowiem tworzenie silnego uzasadnienia intelektualnego, by dokonać rzeczy przeciw którym buntuje się natura człowieka.

Bezsporne jest w twierdzeniu Darwina jedno: ukształtowanie człowieka jest najłatwiejsze w pierwszych latach życia, gdy mózg jest wrażliwy. Stąd znaczenie edukacji publicznej.

Spór czy szkoła powinna być trzy- (podstawówka, gimnazjum, liceum) czy dwustopniowa, tak jak i spór o wiek otwierający przymus edukacji (6 czy 7 lat), jest mniej istotny niż pytania o sens edukacji. Nasz model edukacji powszechnej jest rozwinięciem „szkoły bismarckowskiej”; państwo decyduje jakie prawdy należy wbić uczniom do głowy, by uczynić z nich dobrych poddanych. To państwo zdecydowało, że teoria ewolucji jest

prawdą objawioną, którą trzeba przyjąć bez prób samodzielnej weryfikacji. To państwo narzuca nam kanony doktrynalne w poznawaniu historii, literatury, muzyki. Trudniej państwu ingerować tam, gdzie rządzi intelekt; prawa matematyczne czy fizyczne są sprawdzalne; uczący się może samodzielnie potwierdzić prawdziwość prawa Archimedesza czy Pitagorasa. Wszechwładza państwa dotyczy humanistyki. Twierdzenia, że 1000 lat temu powstał naród polski nie jesteśmy w stanie zweryfikować. Jest to prawda wymyślona i narzucona przez państwo, organizujące ten naród.

Nauczanie historii służyć nam może jako doskonały przykład narzucania dogmatów. Wiemy z własnego doświadczenia jakie spory wywołuje ocena faktów, które są nam bliskie (spór o powstanie warszawskie, o Żołnierzy Wyklętych, o „Solidarność”). Można przyjąć, że równie sporna jest ocena zdarzeń z dalszej naszej przeszłości (bitwy pod Grunwaldem czy pod Wiedniem, chrztu Polski czy dorobku panowania Władysława Łokietka). W szkolnym przekazie spory nie istnieją; rolą ucznia jest przyjęcie bezkrytyczne (wykucie) przekazu zdefiniowanego przez państwo.

Ta metoda sprawdzała się, gdy za cnotę obywatelską uznawano posłuszeństwo i lojalność wobec władzy. Tyle, że ceną za to była intelektualna nieodporność wyuczonych obywateli wobec wszelkich innych doktryn. Szkoła rozwijała ciąg myślowy: władza = autorytet = monopol na posiadanie prawdy. Ten styl dostrzegalny jest u niektórych nauczycieli, tych, którzy z równym zapałem dziś beatyfikują Żołnierzy Wyklętych, tak jak wczoraj gloryfikowali gwardzistów z GL czy AL. W tej zmianie poglądów owi zacni ludzie nie widzą nic nagannego, bo przecież ich rolą jest przekazywanie takiej prawdy, jaką ustaliła władza.

Świat jest zbyt otwarty i rozedrgany by państwo było w stanie, nawet kontrolując ściśle programy szkolne, utrzymać swój monopol na prawdę. Istotą szkody czynionej przez edukację publiczną jest wspomniana nieodporność intelektualna wobec

doktryn. Przyjmujemy pewne mądrości „na wiarę”, nie potrafiąc weryfikować ich prawdziwości, uznajemy je za nasze i bronimy jak Westerplatte, podejrzewając oponentów o herezję. Jeśli ktoś wierzy, że światem, a Polską w szczególności, rządzą Żydzi; to znaczy, że zaakceptował i przejął jako własne poglądy głoszone przez kogoś, kogo uznał za autorytet. Dowodzenie nieprawdziwości tej tezy jest pracą bez znaczenia, ponieważ w żaden sposób nie możemy równać się z obranym „nosicielem prawdy”. Nie celowe, a nawet szkodliwe, jest zakazywanie głoszenia takowych poglądów; męczeństwo zwykle umacnia wiarę.

Jest więc dyskurs publiczny formą meczu, gdzie boksują się autorytety; kibicujemy swoim, wybacząc im wszelkie faule, licząc na ostateczne zwycięstwo. Istota sporu mniej nas interesuje od samej walki.

W XVII w. w krwawych bitwach walczyli Polacy z Rosjanami; jedni mieli na sztandarze Matkę Boską Częstochowską, drudzy Matkę Boską Kazańską. Sto lat temu żołnierze jednej strony mieli na pasach napis „Gott mit uns”, drugiej śpiewali „God save the King”. Skoro się można było mordować, przejmując na kibica „swojego” Boga i Jego Matkę; nie dziwny się, że dziś ktoś na potrzeby swych racji zawłaszcza Ojczyznę i jej sztandary. Gorącej wiary wierni nie raz na stosie spalili misjonarzy; a Bóg (jeśli istnieje) pewnie się przyzwyczaił, że najgorliwiej biczą Go wyznawcy.

Mam swoją teorię dotyczącą rozwoju świata. Gdyby nasi przodkowie mężnie bronili wyznawanych doktryn i zasad, tkwili byśmy nadal w puszczańskich bagnach. Na szczęście dla nas, przybyłym rzymskim kupcom nie dano po głowie maczugami, lecz rozpoczęto debatę nad wymianą jednych wartości (skór i bursztynów) na inne (gotówka z rzymskiej walucie). Nasi umiejętnie podkreślali w dyskusji walory bursztynów, kupcy wzajemnie tłumaczyli, na co dalej można wymienić ich pieniądze. I tak doszło do kompromisu, wzajemnie korzystnego. I przez taki ciąg kompromisów, spotkań, dyskusji doszliśmy do tego

czym jesteśmy obecnie.

Niestety, szkoła nie nauczy nas weryfikować prawdziwości tej tezy, tak jak nie nauczy nas dyskusji i umiejętności dochodzenia do kompromisów. Cóż, w końcu nie temu ma służyć..

Autorstwo: Jarosław Kapsa

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com